

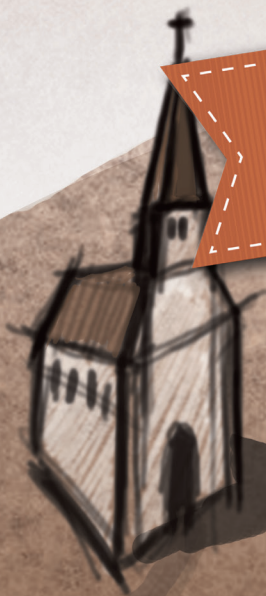
ISSN 2084 - 0810

MŁODZI EKUMENIZM BÓG

nr 38 czerwiec - sierpień 2014

PROSTO Z MOSTU

WAKACJE z BOGIEM



SPIS TREŚCI



TEMAT NUMERU:
WAKACJE Z BOGIEM

6
BÓG MÓWI PO NIEMIECKU
(RZECZ O GÓRZE TABOR)

8
NIE MA URLOPU OD WIARY

11
AKCJA LATO 2014 - WYPOCZYNEK
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY
PRAWOSŁAWNEJ



Z DWÓCH STRON

23
NA WALIZCE, TABORECIE I KAJAKU

24
MSZA JAK NA DŁONI



WYWIAD PROSTO Z MOSTU

12
„MIESZAŁEM W GARNKACH I PAN BÓG
PRZEMÓWIŁ DO MNIE”, CZYLI JAK TO SIĘ
ZACZĘŁO.

ZAKONY I ZGROMADZENIA

16
STOWARZYSZENIE APOSTOLSTWA
KATOLICKIEGO - PALLOTYNI

SYLWETKI PIĘKNYCH KOBIET

28
BEZ PRZEBRANIA W POPKULTURZE

POZOSTAŁE ARTYKUŁY

4
KOŚCIÓŁ KATOLICKI NA ZIEMIACH
ODZYSKANYCH

18
NIESAMOWITE 151 KILOMETRÓW
ULTRAMARATON ZE SZCZECINA DO
KOŁOBRZEGU

21
TO PRAWDZIWE DZIECKO INTERNETU

26
UŚMIECH SIĘ

30
W SWOIM SERCU PONIESIESZ OGROMNY
ŚWIAT

Czy ma mamy prawo do wolności?

Podobno Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej w artykule 53 zapewnia „każdemu wolność sumienia i religii”. Podobno, bo w ostatnich tygodniach, czytając opinie niektórych publicystów i polityków, można odnieść wrażenie, że są pewne wyjątki. Wolność sumienia bowiem nie należy się lekarzom, którzy w maju podpisali na Jasnej Górze dokument zobowiązujący ich do wierności Bogu i chrześcijańskiemu sumieniu. „Deklaracja wiary” jest szeroko komentowana i już wywołała lawinę krytyki w środowiskach, nazwijmy to bardzo ogólnie, spierających się z Kościołem.

Czy, jako płacący składkę zdrowotną, mamy prawo wymagać od lekarza, by np. wbrew swemu sumieniu zabijał nienarodzone dzieci lub faktycznie brał za to odpowiedzialność, kierując pacjenta do „konkurencji”? Czy „Deklaracja wiary” była potrzebna, bo tak naprawdę obowiązująca klauzula sumienia zapewnia lekarzowi te same prawa i zabezpiecza jego wolność sumienia?

Każdy ma pewnie swoją odpowiedź. Moją niech będą pytania: czy to nie w Polsce tak bardzo walczy się o prawa mniejszości (choć w tym przypadku trudno mówić o mniejszości) i tak głośno wykrzykuje hasła „prawa wolności do swoich poglądów”? Wreszcie, czy to nie tylko prawo, lecz także obowiązek chrześcijanina, by dawać świadectwo swoim życiem, zarówno w rodzinie, gronie przyjaciół, jak i w pracy, że jego drogowskazem na każdym polu jest Dekalog?

Wśród trzech tysięcy osób, które podpisały się pod „Deklaracją wiary lekarzy” podczas Ogólnopolskiej Pielgrzymki Służby Zdrowia było też kilkudziesięciu medyków z archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej. To gest prawdziwej odwagi swojej wiary.

Odwagi dawania świadectwa, której życzę sobie i Wam na dwumiesięczny okres wakacji, kiedy również nasza redakcja uda się na (nie)zasłużony odpoczynek:)

Mam nadzieję, że we wrześniu wrócimy silniejsi i mocniejsi w wierze. Czekamy na nowych ekumenicznych chrześcijan, którzy zechcą również pisać z nami. Póki co, tradycyjnie zostawiamy Was z ciekawą lekturą numeru wakacyjnego, w którym nie zabraknie także kontrowersji, -wszak tytuł gazety zobowiązuje.

Zostańcie z Bogiem,
Piotr Kołodziejski

Idea gazety jest dialog międzywyznaniowy w ramach chrześcijaństwa. Oprócz tematów religijnych młodzi ludzie i duchowni różnych wyznań piszą teksty z pogranicza tematyki społecznej, kulturalnej, sportowej. Cały czas czekamy na kolejnych „ekumenicznych”. Chcesz pisać i dołączyć do Nas? Odezwiw się na: ekumeniczni@wp.pl

Autorzy

Paulina Bielecka, Basia Chojnacka, Anna Malec (Warszawa),
Iwona Marciszak (Stargard Szczeciński),
Ewa Smutek (Warszawa),
Magdalena Żukowska, Marysia Walas,
Jarosław Kaczmarczyk, Maciej Papke, o. Maciej Biskup OP,
o. Grzegorz Ginter SJ, ks. Marcin Sęk TChr (Poznań),
ks. Mariusz Sokołowski SChr (Bochum, Niemcy),
ks. Mariusz Wenclawek SDB, ks. Leszek Tokarzewski TChr

Zastępcy redaktora naczelnego

Ewelina Dmitrowicz (Warszawa)
Małgorzata Moraczewska

Redaktor naczelny

Piotr Kołodziejski

Adres redakcji i wydawnictwa

ul. Królowej Korony Polskiej 28e
70-485 Szczecin

Kontakt z redakcją

ekumeniczni@wp.pl
konto na facebooku:
<http://www.facebook.com/ekumeniczni>
Archiwalne numery do zobaczenia na: radioszczecin.pl/religia
Proszę zeskanować kod QR

Skład

Robert Zak
robert.zak@wp.pl

Korekta

Paulina Filutowska

Konsultacja teologiczna parafii rzymskokatolickich:

ks. Lucjan Chronchol

prawosławnej:

ks. Paweł Stefanowski

ewangelicko-augsburskiej:

ks. Sławomir Sikora

Wydawca

Fundacja „Szczecińska”
www.szczecinska.eu



KOŚCIÓŁ KATOLICKI NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH

Tekst

Paulina Bielecka

Duszpasterstwo Akademickie „W Sercu” u chrystusowców

Na podstawie wspomnień Edmunda Bilickiego zawartych w książce: *Początki w Szczecinie duszpasterstwa i działalność katolicko-społeczna w latach 1945-1970 i późniejszych.*

Wchodzę do Sanktuarium Najświętszego Serca Pana Jezusa, patrzę na chrystusowców posługujących w tej świątyni i... nie zastanawiam się nad tym, jak tu trafili, jaka jest historia tego kościoła, ani nawet jaka jest historia Kościoła katolickiego w Szczecinie w ogóle. Kościół jest, księża są, wszystko ładnie, sprawnie działa, spowiedź prawie przez cały dzień, kapłani otwarci, dyspozycyjni. Sielanka. I w tej sielance trafiam na książkę wspomnienie, w której opisane są początki działalności katolickiej w Szczecinie.

Młodzi narzekają (czasem nawet i ja sama), że Szczecin jest miastem nie dającym perspektyw, słabo rozwiniętym, a jego potencjał jest wciąż niewykorzystany. Na szczęście ten trend biadolenia zanika, młodzi zaczynają doceniać to miasto, a ja dochodzę do wniosku, że coś w tym naszym Szczecinie jest, bo zostajemy i właśnie tu żyć chcemy. A właściwie i jest, i było, bo po II wojnie światowej ludność jednak zostawała na tych ziemiach. Pomimo tego, że Szczecin wówczas nie sprawiał wrażenia stabilnego czy bezpiecznego miasta, na Ziemiach Odzyskanych panował strach przed powrotem Niemców, potem długo odczuwalne było zagrożenie wybuchem kolejnej wojny. I podobno czynnikiem decydującym w sprawie stałego zamieszkania w Szczecinie był fakt obecności tam Kościoła katolickiego, który – również niewierzącym – dawał poczucie bezpieczeństwa i oparcia. Księża byli ludziom po prostu potrzebni.

Jednym z ważniejszych wydarzeń w formowaniu Kościoła Katolickiego na ziemi szczecińskiej po II wojnie światowej był przyjazd ks. Floriana Berlika TChr, tj. 4 maja 1945 r. Był on wówczas przełożonym domu chrystusowców w Poznaniu i został wysłany przez biskupa Walentego Dymka na prośbę Piotra Zaremby – prezydenta Szczecina od 29 kwietnia 1945 r. Miały paść wtedy słowa: „Władza i ludzie domagają się przyjazdu księdza”. 6 maja, w południe, odprawiona została pierwsza msza św., podczas której Szczecin został powierzony Matce Bożej – to wydarzenie dało ludziom zasiedlającym te tereny siłę do dalszych działań. Z powodu ewakuacji mieszkańców do Stargardu i Piły, z polecenia Rządu Tymczasowego w maju 1945 r., ks. Berlik 17 maja

odprawił ostatnie nabożeństwo i opuścił miasto. Jego następcą został 12 czerwca ks. Kazimierz Świetliński, który 8 lipca – po przejęciu Szczecina przez władze polskie – odprawił uroczystą dziękczynną mszę św. w Sanktuarium Najświętszego Serca Pana Jezusa. Misja duszpasterska w Szczecinie trwa nieprzerwanie po dzień dzisiejszy, ze szczególnie zaznaczoną obecnością księży chrystusowców w Sanktuarium NSPJ.



Pierwszymi kapłanami na Pomorzu Zachodnim po wojnie byli: księża Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej, którzy pracowali w pierwszych poświęconych parafiach; ojcowie jezuici pracujący głównie w parafii św. Andrzeja Boboli i z młodzieżą w szkołach; księża ze Zgromadzenia Misjonarzy Świętej Rodziny. Organizatorem życia Kościoła na Ziemiach Zachodnich i Północnych był założyciel Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej – ks. kard. Hlond.

Przejmowano kościoły ewangelickie, przystosowywano je, naprawiano wnętrza już istniejące oraz budowano nowe kościoły, choć były to działania często niemożliwe lub utrudniane.

Podział na parafie właściwie nie istniał, bo o swojej przynależności decydował każdy samodzielnie, często według własnych kryteriów, takich jak np. obecność znajomych w danej parafii lub atrakcyjność kazań tam wygłaszanych.

Studenci już wtedy mieli swoje duszpasterstwo. Pierwszym kościołem oddanym dla duszpasterstwa akademickiego w 1950 r. był główny kościół katolicki Szczecina pw. św. Jana Chrzyciela przy ul. Bogurodzicy. Duszpasterzem mianowano o. dra Władysława Siwka TJ, pełniącego wcześniej tę samą funkcję w Poznaniu. W Szczecinie sprawował pracę duszpasterza w latach 1950-1969, z przerwą w latach 1955-1957, gdy wszyscy ojcowie jezuici zostali wyrzuceni z miasta przez władze komunistyczne. Z czasem kościół św. Jana Chrzyciela został kościołem parafialnym, a duszpasterstwa dla studentów powstały w wielu parafiach, w tym: św. Andrzeja Boboli, Najświętszego Serca Pana Jezusa, św. Wojciecha, św. Kazimierza.

Ojciec dr Władysław Siwek, po powrocie do miasta w 1957 r., został diecezjalnym duszpasterzem akademickim. Obecnie jest nim ks. Zbigniew Regucki TCHR, duszpasterstwa akademickie zaś teoretycznie funkcjonują w ośmiu parafiach.

To za ledwie namiastka, zachęta do poszukiwania informacji o historii Kościoła katolickiego na Ziemiach Odzyskanych, a czasem nie trzeba szukać w książkach, wystarczy porozmawiać z dziadkami...

BÓG MÓWI PO NIEMIECKU (RZECZ O GÓRZE TABOR)

Tekst

Ks. Mariusz Sokołowski Schr
chrystusowiec

Czekając na busa, oglądamy pamiątki: kartki, figurki, torby i inne gadzety związane z miejscem, na które mamy wjechać. Po chwili wsiadamy, po czym ruszamy. Stromą i bardzo krętą drogą wjeżdżamy na szczyt. Wyłaniające się po drodze krajobrazy zapierają dech w piersiach. Nieco lęku na kolejnym zakręcie i już jesteśmy. Miejscem tym opiekują się ojcowie franciszkanie. Góra Tabor, dotarliśmy. Tu Jezus przemienił się wobec apostołów. Tu także my, jako pielgrzymi, chcemy doświadczyć przemiany... Krótka modlitwa, parę zdjęć, na koniec jeszcze pieśń i czas wracać... Aż z serca wyrwa się: „Zostańmy tu, postawimy namioty...” Kto raz doświadczył góry Tabor, na pewno zechce tam wrócić.

Góra Tabor. Taką samą nazwę nosi spotkanie Młodzieży Chrystusa organizowane już od ponad 10 lat przez księży chrystusowców. Przybywa na nie rokrocznie 350-500 osób. Góra Tabor od roku organizowana jest przy domu nowicjackim Towarzystwa Chrystusowego w Mórkowie koło Leszna. Wcześniej młodzież swoją górę Tabor znajdowała nad Bałtykiem we Władysławowie oraz w Trzęsaczu. Ale przecież Bóg jest wszędzie... Celem wakacyjnego spotkania Góry Tabor jest pomoc młodemu człowiekowi w doświadczeniu Boga. Pomoc w uwierzeniu w siebie. Na górę przemiany przyjeżdżają młodzi ludzie z różnych zakątków Polski a także niekiedy spoza jej granic. Przyjeżdżają u progu wakacji, aby je dobrze zacząć, ale także, aby podziękować za miniony rok szkolny czy akademicki. W końcu przyjeżdżają z całym bagażem swojego życia: radościami, ale i troskami, kłopotami, które na tym etapie ich życia są dla nich ważne. Chcą je oddać Bogu. Przyjeżdżają, by także odnaleźć swoje „ja”, swoje miejsce w świecie, Kościele, by usłyszeć odpowiedź Boga na pytanie: „Co dalej? Co mam w życiu robić?” Jednym słowem, przyjeżdżają, aby doświadczyć – jak apostołowie – przemiany. Temu ma służyć zaproponowany taborowiczom (tak o nich mówimy) program. Na każdym spotkaniu, opatrzonym innym hasłem, podejmuje się jakąś ważną prawdę wiary, która jest omawiana i wyjaśniana na poszczególnych konferencjach wygłaszanych przez zaproszonych gości. Codzienna msza św., adoracja Jezusa w Najświętszym Sakramencie i okazja do spowiedzi dają młodzieży szansę na umocnienie w wierze. Różne warsztaty



Fot. Archiwum prywatne

pomagają zarówno rozwinąć się, jak i odkryć talenty. Kino nocne z wartościową projekcją, mądrym komentarzem, skłania do refleksji i dialogu. Droga światła, muzyczne uwielbienie i koncert ewangelizacyjny szczególnie zapadają w sercach młodych. Czy to jest właśnie ten moment, ten punkt pięciodniowego spotkania, który przemienia serca uczestników? Trudno powiedzieć, każdy bowiem jest inny, a chwil na spotkanie z Bogiem jest wiele. Wszystkie spotkania odbywają się – jak przystało na Tabor – w namiocie. Tu niewątpliwie mówi Bóg. Choć są wakacje, podejmuje się trudne tematy, wychodzi z nauką, lekcją o życiu, o sobie, o bliźnim, po to, by młodym udowodnić, że warto się starać, wymagać od siebie i wygrać życie. Na Górze Tabor niemal najważniejsze jest to, że młodzi mają szansę usłyszeć (bo niejednokrotnie rzadko albo wcale tego nie słyszą) prawdę o tym, że Bóg ich kocha, wspiera, wybacza im, a oni są Jemu potrzebni. Żeby Go usłyszeć, nie trzeba muzycznego słuchu ani znajomości języków obcych. A nawet jeśli na Górę Tabor przyjadą nie znający polskiej mowy sąsiedzi zza wschodniej czy zachodniej granicy (z czego niezmiernie zawsze się cieszymy), to można być spokojnym, Bóg także mówi po niemiecku, ukraińsku, białorusku... A gdy nadchodzi czas zejścia z Góry Przemienienia, to aż z serca wrywa się: „Zostańmy tu, postawimy namioty...”. Kto raz doświadczył Góry Tabor, na pewno zechce tam wrócić.

Więcej informacji na: goratabor.org Tegoroczne Spotkanie Młodzieży Chrystusa odbędzie się w dniach 2-6 lipca we wspomnianym Mórkowie koło Leszna. Przyjeźdź, warto!

Kościół rzymskokatolicki wychodzi w wakacje z szeroką ofertą duszpasterską. To m.in. Szczecińska Piesza i Rowerowa Pielgrzymka na Jasną Górę, Jarmark Jakubowy połączony z odpustem w szczecińskiej katedrze. W tym roku do Szczecina w lipcu przyjedzie też ponad tysiąc młodych osób z całej Polski, które są stypendystami Fundacji Dzieło Nowego Tysiąclecia. To dzieło poświęcone promocji nauczania św. Jana Pawła II i jak często jest nazywane „żywy pomnik” postawiony dla papieża. Zdolna młodzież z uboższych rodzin, dzięki tym stypendiom może uczyć się i rozwijać swoje talenty, a raz w roku spotkać się na obozie integracyjnym w jednym z miast Polski. Trudno zliczyć i wymienić tu wszystkie rekolekcje, warsztaty ewangelizacyjne i inne akcje, które różne wspólnoty proponują właśnie w okresie lata.

NIE MA URLOPU OD WIARY

Tekst

Ks. Sławomir Sikora

parafia ewangelicko-augsburska
w Szczecinie

W czasie wakacji znacznie spowalnia tempo wspólnotowego życia w parafiach. Zawieszone zostają wszystkie tygodniowe zajęcia: godziny biblijne; spotkania dla zainteresowanych protestantyzmem; nabożeństwa tygodniowe; piątkowe, wspólne oglądanie filmów; spotkania młodzieżowe; spotkania dla pań; Międzypokoleniowy Klub Dyskusyjny. Po intensywnym roku szkolnym jest to szansa dla duchownych na miesięczny urlop (tyle w pragmatyce kościelnej przysługuje odpoczynku, dodatkowo jeden dzień w tygodniu w ciągu całego roku – w praktyce bywa różnie). Nie oznacza to jednak, że wakacyjne życie ewangelików ogranicza się do niedzielnych nabożeństw, choć i one bywają ciekawym doświadczeniem.

Wielu moich parafian, wyjechawszy na wakacyjny urlop, szuka możliwości wzięcia udziału w ewangelickim nabożeństwie w zwiedzanym miejscu. W większych miastach nie ma z tym problemu, ale w miejscowościach trzeba się natrudzić, aby takie znaleźć. Nabożeństwa odbywają się czasem w kaplicach, które mieszczą się w jednym z mieszkań bloku lub kamienicy, zdarza się, że organizowane są w prywatnych mieszkaniach parafian. Jest to głęboko przeżywane doświadczenie wspólnoty, kiedy trafia się w skromne progi czyjegoś domu, gdzie raz lub dwa razy w miesiącu spotyka się parę osób.

A wcześniej przyzwyczajono się do dużego szczecińskiego kościoła Świętej Trójcy, przy średniej frekwencji ok. 100 osób w każdą niedzielę. Mimo niewielkiej liczby uczestników, można poczuć „tego samego ducha” nabożeństwa oraz jedność duchową z domownikami, dla których każda nowa osoba, która może opowiedzieć, jak żyją ewangelicy w dużej parafii (bo przecież dla nich jesteśmy ogromną parafią liczącą ponad 420 osób!) jest również wzruszającym spotkaniem.

W okresie wakacyjnym organizowanych jest również wiele obozów i innych aktywności dla dzieci i młodzieży. Nasza parafia organizuje co roku Tydzień Dobrej Nowiny dla dzieci z diecezji wrocławskiej. Grupa ponad 30 dzieci – w wieku szkoły podstawowej – spędza bardzo intensywny tydzień w naszym mieście. Oczywiście najważniejszy jest program nauczania biblijnego oraz przekazywania prawd wyływających z Bożego Słowa. Jednak za każdym razem przygotowanych jest dla dzieci mnóstwo atrakcji oraz wycieczek po Szczecinie i okolicy. Podobne obozy organizowane są w całej Polsce przez różne parafie. Taki czas spędzony z rówieśnikami ze swojego Kościoła jest bardzo ważny dla dzieci szczególnie z diaspory (obszarów, gdzie ewangelicy są zdecydowaną mniejszością). Podobne obozy odbywają się w górach, nad morzem i Mazurach – dla młodzieży. Najczęściej mają one charakter sportowy lub rekreacyjny, zawsze jednak duży nacisk kładzie się na rozmowy o wierze. Młodzi ludzie mają okazję podyskutować na nurtujące ich tematy, mogą porozmawiać o osobistych problemach, poszukać odpowiedzi na trudne pytania.

Ciekawą formą spędzania wakacyjnego czasu jest udział w tygodniach ewangelizacyjnych, które w ciągu wakacji organizowane są w: Dzięgielowie (nieдалеko Cieszyna i Wisły), Zelowie (wspólnie z Kościołem Ewangelicko-Reformowanym), Mrągowie oraz Karpaczu. W tym roku osobiście jestem zaangażowany w dwie ewangelizacje, w Dzięgielowie i w Karpaczu. W Dzięgielowie będę duszpasterzem dla wolontariuszy. Ewangelizacja ta odbywa się pod wielkim namiotem, w którym mieści się kilkaset osób. Program jest bardzo urozmaicony. Odbywają się seminaria, wykłady, warsztaty, koncerty, a głównym punktem jest spotkanie ewangelizacyjne. Oprócz codziennych spotkań z wolontariuszami (ok. 40 mężczyzn) oraz dbałości o ich „morale”, będę prowadził studium biblijne na temat rozumienia krzyża w teologii św. Pawła oraz seminarium dla młodzieży na temat czystości seksualnej. Od kilku lat, razem z żoną oraz kilkoma parafianami ze Szczecina, jesteśmy również odpowiedzialni za współprowadzenie Tygodnia Ewangelizacyjnego dla Rodzin w Karpaczu. Organizatorem jest diecezja wrocławska, której podlega nasza parafia. Co roku w grupie ok. 130 osób są również katolicy lub protestanci należący do innych Kościołów. Wszystkich nas łączy jednak miłość do Boga, pragnienie głębszego

zrozumienia Pisma Świętego oraz ... miłość do gór i wspaniałej ewangelickiej Świątyni Wang w Karpaczu. Oprócz wspólnie spędzanego czasu na modlitwie, śpiewie i rozważaniu Słowa Bożego, część zajęć odbywa się w grupach: dzieci, młodzież, dorośli. Nie ukrywam, że przygotowanie do prowadzenia spotkań dla dorosłych jest dla mnie z jednej strony ciekawym wyzwaniem, dzięki któremu sam wiele odkrywam na nowo; z drugiej, pracochłonną czynnością, na którą muszę poświęcić sporo czasu. Zajęcia te są nie tylko moimi wykładami, lecz także wspólną dyskusją oraz pracą nad tekstem biblijnym. Co prawda, od wielu lat nie bierzemy z żoną udziału w Tygodniach Ewangelizacyjnych w Mrągowie, to jednak nadal odczuwamy wielki sentyment wobec tego miejsca. Brałszy bowiem udział w prowadzeniu go w pierwszych latach trwania (1998-2003). Był to dla nas szczególnie, choć bardzo trudny czas służby. Odpowiadaliśmy za pracę wśród dzieci. W spotkaniach uczestniczyły w większości dzieci z ulicy i to określenie nie jest żadnym nadużyciem z mojej strony. Dzieci te były głodne, zaniedbane, agresywne, z bardzo trudnymi doświadczeniami rodzinnymi. Mimo to spragnione były, jak wszystkie dzieci, zarówno miłości Boga, jak i ciepła i zainteresowania ze strony dorosłych. Pamiętam, jak po zajęciach grywałem z nimi w piłkę nożną, a w przerwie kilkanaścioro dzieci w wieku od 6 do 15 lat zniknęło na parę chwil – wszyscy na papierosa kupowanego na miejscowych targowiskach. Próbowałem wprowadzać trochę chrześcijańskich reguł sportowych – nie kopujemy się specjalnie po nogach, nie plujemy na siebie, nie używamy brzydkich wyrazów. Wprowadzając karę dwuminutowego wykluczenia z gry za złamanie przepisów, czasami zostawałem prawie sam na boisku. Pamiętam również, że w ostatnim roku naszych przyjazdów do Mrągowa w grupie nastolatków spotkaliśmy tylko kilka znajomych osób. Niestety reszta była na odwykach narkotykowych lub trafiła do zakładów poprawczych za handel narkotykami. Miej ich Boże w swojej opiece!

Czas wakacji to sposobność do organizowania wielu ciekawych aktywności również w Kościele. Jest to bardzo budujące i motywujące, że całe rodziny decydują się na wykorzystanie części swojego urlopu, aby skorzystać z takiej możliwości. Dla mnie jest to czas spędzony z rodziną na urlopie, przeplatany bardzo intensywnym słuženiem, w sposób, jaki od początku mojej posługi w Kościele, był mi oraz mojej żonie bardzo bliski.

AKCJA LATO 2014 - WYPOCZYNEK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY PRAWOSŁAWNEJ

Tekst

Ks. Paweł Stefanowski
parafia prawosławna
pw. św. Mikołaja

Tegoroczne wakacje przed nami. Czekają miłe wspomnienia, zdjęcia, opalenizna, nowe znajomości i z pewnością wiele niezapomnianych wrażeń. Czas letniego odpoczynku to doskonała okazja nie tylko do relaksu i oderwania się od codziennych obowiązków, lecz także do rozwijania samego siebie poprzez poznawanie nowych miejsc, kultur, tradycji i zwyczajów. Przebywając w innym otoczeniu, młodzi ludzie poszerzają horyzonty, kształtują swoje spojrzenie na otaczający świat. Dla diasporalnej społeczności prawosławnej w Polsce wakacyjne wyjazdy pełnią dodatkowo funkcję integracyjną, a poprzez stałą opiekę duchową, zbliżają dzieci i młodzież do Cerkwi.

W tym roku propozycje wyjazdów są bardzo różnorodne. Dzieci i młodzież będą mogły wypoczywać w kraju i za granicą. Organizacją letniego wypoczynku dzieci i młodzieży prawosławnej zajmuje się wiele ośrodków diecezjalnych, parafii oraz bractw i stowarzyszeń działających w Polsce i poza granicami.

Diecezja wrocławsko-szczecińska, jak co roku, organizuje obozy dla dzieci i młodzieży, korzystając z obiektów w Cieplicach i Wałczu. Koordynacją letniego wypoczynku w naszej diecezji zajmuje się Fundacja św. Stefana w Cieplicach.

Wypoczynkiem letnim w skali kraju zajmuje się Bractwo Młodzieży Prawosławnej w Polsce, w ramach Akcji Lato 2014. W tym roku przygotowana jest oferta wypoczynku dla dzieci i młodzieży w Jastarni, Murzasichlach k. Zakopanego, Opartowie k. Rajgrodu, Gibach nad jeziorem Pomorze (za Augustowem), Białowieży oraz obóz roboczy na św. górze Grabarce.

Szeroką ofertę na nadchodzące wakacje przedstawiła Fundacja Dialog Narodów z Lublina, która we współpracy z prawosławną diecezją lubelsko-chełmską organizuje wypoczynek w Petersburgu (Rosja) i Agia Triada (Grecja).

Bractwo Młodzieży Prawosławnej diecezji białostocko-gdańskiej zorganizuje w tym roku kolonie i obozy, m.in. w: Jacznie, Białowieży, Wojnowie, Ełku i Sokołowsku.

Organizowane również będą pielgrzymki do prawosławnych świętych miejsc w Polsce, takich jak: monastery w Jabłecznej, Supraślu oraz św. górze Grabarce, do której w sierpniu tego roku ze św. góry Atos przybędą relikwie św. Marii Magdaleny.

„MIESZAŁEM W GARNKACH I PAN BÓG PRZEMÓWIŁ DO MNIE”, CZYLI JAK TO SIĘ ZACZEŁO.

ROZMOWA Z NOWYMI KSIĘŻMI
ARCHIDIECEZJI SZCZECIŃSKO-KAMIEŃSKIEJ

Rozmawiał

Piotr Kołodziejski

parafia rzymskokatolicka

pw. Matki Boskiej Jasnogórskiej

Samo przyjście do seminarium nie oznacza, że ktoś jest już księdzem. To miejsce, gdzie rozeznajemy swoją decyzję – mówi ks. Robert Koziółek. – Statystycznie około 40 procent kandydatów z danego roku przyjmuje sakrament święceń.

Metropolita szczecińsko-kamieński arcybiskup Andrzej Dzięga wyświęcił w maju pięciu nowych księży.

Mówi się, że nie brakuje powołań, ale nie wszyscy na nie odpowiadają. Co doradzicie tym, którzy czują wewnętrzny głos, ale nie chcą na niego odpowiedzieć?

Ks. Wojciech Koladyński: Chyba najprostszą radą jest po prostu zaryzykować. Tak naprawdę z naszej piątki nikt sześć lat temu nie miał pewności, że przyjdzie ten moment święceń. Każdy z nas wiedział, że do seminarium po prostu powinien przyjść, że coś go ciągnie. Seminarium w pierwszej fazie jest czasem rozeznawania i część z naszych braci, nie tylko z naszego roku, dziś jest mężami, ojcami, a czas seminaryjny cenią jako bardzo dobry, bo był dla nich owocny. Wydaje mi się, że moglibyśmy powtórzyć za naszym rektorem do tych młodych, którzy się wahają: odwagi, bo naprawdę warto zaryzykować. Seminarium jest wyjątkową przygodą, bo poznaje się trochę siebie, poznaje się Pana Jezusa, a nie ma nic lepszego, ciekawszego, bardziej sensownego w życiu niż poznawać Go i wchodzić z nim w relację, a wtedy wszystko zaczyna się rozjaśniać.

Ks. Robert Koziółek: Ze swojego punktu widzenia poradziłbym jedną rzecz. Rozmawiajcie o tym z mądrymi ludźmi, przede wszystkim szukajcie mądrych duszpasterzy, dzielcie się tym głosem, jeśli ktoś go słyszy. Warto powiedzieć to komuś doświadczonemu, ale przede wszystkim pójść na modlitwę i prosić Pana Boga. On doradzi, On powie, co zrobić. Ja mam to doświadczenie, że kiedy usłyszałem głos powołania, zacząłem w wakacje chodzić codziennie rano na mszę świętą. To był dla mnie też taki znak, że właśnie w tym miejscu będę

miał pewność, że Pan Bóg pomoże mi podjąć decyzję i pomoże. Trzeba zaufać Panu Bogu i nie bać się.

Nie było chwili zawahania?

Ks. Bartosz Wach: Na pewno takich chwil było kilka. Są one potrzebne, bo w nich powołanie próbuje się. Gdy doświadczamy takich trudności, możemy zobaczyć, czego nam brakuje i nad czym musimy popracować.

Ks. Paweł Olewiński: Ważne, żeby pamiętać, że Pan Bóg pragnie naszego szczęścia. Skoro chce, żebyśmy szli do nieba, bo świętość, czyli bycie z Bogiem w niebie, jest naszym pierwszym powołaniem i On chce nas tam prowadzić taką, a nie inną drogą, to znaczy, że z perspektywy Boga to jest droga najlepsza i warto tą drogą kroczyć, warto zaufać Bogu. Przecież on wie o nas wszystko i chce dla nas najlepiej.

Ks. Jarosław Malec: Ja, kiedy młodszy bracia przychodzą w seminarium po radę, mówię „Uczepić się Jezusa”. Nie ma innego rozwiązania i innego wyjścia. Odwagi i uczeć się Jezusa, On będzie wiedział, co zrobić z Twoim życiem.

Czy był jeden moment czy proces, w którym zaczęliście odkrywać swoją drogę?

Ks. Robert Koziółek: Mam tę łaskę, że pamiętam moment, kiedy Pan Bóg wyszedł do mnie z inicjatywą. Na mszy św. prymicyjnej stałem z tyłu. Patrzyłem się na księdza, który czyni błogosławieństwo prymicyjne z nałożeniem dłoni i w tym czasie usłyszałem głos w sercu: „A może Ty też chciałbyś stanąć po tamtej stronie ołtarza”. Chodziłem z tym w sercu, rozważałem w modlitwie, rozmawiałem z duszpasterzami i to wszystko pomogło mi w podjęciu decyzji, by zawierzyć swoje życie Panu Bogu. Nic nie straciłem, tylko zyskałem.

Pięciu nowych kapłanów w towarzystwie dyrektora administracyjnego seminarium ks. Krzysztofa Krawca (na zdj. z walizką:). Fot. Piotr Kołodziejski



Ks. Wojciech Koladyński: U mnie to był raczej proces. Moment, który dał mi pewność i dużo odwagi, że warto zaryzykować, to był czas, kiedy bracia rozpoczęli „rozpędówkę” w seminarium, a ja uciekłem nad morze, gdzie trochę siedziałem, trochę modliłem się. Wtedy uderzyła mnie ta pewność, że zaryzykuję i nie żałuję. Na jednym zdaniu, „Jezu ufam Tobie”, zobaczyłem, że można zbudować wszystko.

Ks. Bartosz Wach: Trudno wskazać jeden moment, kiedy usłyszałem głos, choć takie myśli towarzyszyły mi od dłuższego czasu. Gdy byłem w szkole średniej, stały się bardziej intensywne, a kiedy przyszedł moment decyzji, postanowiłem zaufać Panu Bogu i pójść do seminarium z założeniem, że wcale nie muszę być księdzem.

Ks. Paweł Olewiński: U mnie był moment, ale potem potrzebował procesu oczyszczenia. W szóstej klasie szkoły podstawowej dostałem od pani katechетки obrazek Matki Bożej Fatimskiej. Na jego odwrocie był tekst zaczynający się od słów: „Chrystus nie ma innych rąk, tylko nasze ręce”. Gdy to przeczytałem, trudno wyrazić słowami, co się działo w moim sercu. Zrozumiałem, że moje dotychczasowe życie nie jest dziełem przypadku. To, że jestem w takiej rodzinie i moje życie wygląda tak, a nie inaczej, to do czegoś zmierza i ktoś mnie prowadzi. Wtedy zrodziło się jeszcze dziecięce, ale piękne pragnienie, żeby za kilka lat pójść do seminarium. Dorastając, zadawałem sobie pytanie, czy to nie było chwilowe wzruszenie. Musiał przyjąć proces oczyszczenia motywacji. W tym pomogło mi spotkanie z ludźmi chorymi, cierpiącymi. Byłem wolontariuszem, opiekowałem się panem poruszającym się na wózku inwalidzkim. W kontakcie z tymi ludźmi, po ludzku patrząc słabymi, zobaczyłem, że w życiu chodzi o coś więcej. Po maturze Pan Bóg dał odwagę, że zdecydowałem się pójść do seminarium, które było czasem umocnienia.

Ks. Jarosław Malec: Ostatnie słowo zapadło w kuchni, kiedy pracowałem jako szef kuchni. Miałem dużo czasu na myślenie, mieszając w garnkach, gotując różne rzeczy. Pewnego dnia powiedziałem: „Panie Boże, otwieram Pismo Święte i co Ty mi powiesz?”. Przeczytałem wtedy słowa: „Nie bój się, gdyż cię odkupiłem, wezwałem po imieniu, jesteś mój”. To jest też zawołanie na moje kapłaństwo na obrazku prymitywnym, że w tym momencie Pan Bóg mi ostatecznie odpowiedział na ten proces, który trwał latami mojego dojrzewania. Sam też nie miałem odwagi powiedzieć Jezusowi „tak”, do pewnego momentu.

W jakich środowiskach ludzi chcielibyście pracować przede wszystkim i dlaczego?

Ks. Jarosław Malec: Moim marzeniem jest praca z najbiedniejszymi, odrzuconymi. Sam nie pochodzę z zamożnej rodziny i wiem, że może być

ciężko i widzę, że Pan Bóg pokazuje mi, że mógłby mi pomóc. Ogólnie chcę dawać Boga tym, którzy go potrzebują.

Ks. Paweł Olewiński: We mnie również jest takie pragnienie, żeby być z tymi najuboższymi. Myślę też o tych ubogich duchowo, którzy pogubili się i potrzebują wsparcia. Kiedy jednak myślę, że Pan Bóg mnie powołał, to uświadamiam sobie, że każdy człowiek potrzebuje kapłana. Bo i ci pozornie mocni, dobrze usytuowani, czy duchowo, czy materialnie, też potrzebują wsparcia.

Ks. Bartosz Wach: Nie nastawiam się na nic konkretnego, bo nie chcę ograniczać fantazji Ducha Świętego.

Ks. Robert Koziołek: A ja powiem tak – sam jestem ciekaw, gdzie mnie Pan Bóg pośle.

Ks. Wojciech Koladyński: A ja cieszę się, że będę pracował w Kościele nad Odrą i Bałtykiem, bo to była jedna z moich motywacji, że wybrałem właśnie to seminarium, by służyć ludziom na tych ziemiach.

Na razie widać, że jesteście pełni ideałów. Ale czy z waszej perspektywy, taka postuga to cudowna i wspaniała sprawa, czy raczej trudna, szczególnie w dzisiejszych czasach, kiedy niektórzy mogą powiedzieć „poszli do seminarium, by uciec od problemów współczesnego świata”?

Ks. Wojciech Koladyński: Dla mnie to przede wszystkim niesamowita przygoda. Trochę jak serial sensacyjny, w którym są i wyjątkowe zwroty akcji, i momenty jak w komedii romantycznej. Scenariusz pisze Pan Jezus i jestem nieustannie ciekaw, co będzie w następnym odcinku. Cieszę się, że mogę być częścią tej przygody.

Ks. Robert Koziołek: Ja zapytam, które czasy były łatwe? Bo patrząc na historię Kościoła, można powiedzieć, że każde czasy są trudne. Im bardziej jednak są trudne, tym bardziej trzeba głosić Dobrą Nowinę, ewangelię, bo wszyscy tego potrzebujemy. Najważniejsze, żebyśmy chcieli głosić Chrystusa w każdym miejscu i w każdym czasie.

Ks. Paweł Olewiński: Nieraz słysząc głosy, że kapłaństwo czy seminarium jest rodzajem ucieczki od problemów, ale tak nie jest, bo osoba, która idzie do seminarium i chce zostać kapłanem, nie może nim zostać, jeśli pewnych rzeczy w sobie nie przepracuje. Kapłan zmagają się z różnymi problemami. Często to są inne problemy niż ludzi w małżeństwach, rodzinach, ale też musi uczyć się relacji z drugim człowiekiem, żyć z samym sobą, uczyć się dochowywać tajemnicy. Dochodzą też problemy drugiego człowieka, który przychodzi do nas i nieraz żali się, mówi o swoich trudnościach.

Ks. Jarosław Malec: Święty Paweł przypomina, że miłość Chrystusa przynagła nas. Czasy mogą być trudne, ale ludzie są wspaniali i kochani i nawet jeśli będzie trudno w życiu, będą łzy, to myślę, że z Jezusem ta przygoda jest warta świeczki. Oddać się całemu i powiedzieć: „Działaj Ty, troszcz się Ty, bo ja sam z siebie jestem tylko człowiekiem, a z Ciebie i dzięki Tobie jestem kapłanem”.

Ks. Bartosz Wach: Na pewno będą tacy, którzy będą zawsze ciągnęli do kapłana, bo będą mieli potrzebę kontaktu z Bogiem. Kapłan będzie prowadził ich do Boga. Będą i tacy, którzy będą uciekali od kapłana lub patrzyli na niego z niechęcią. Zarówno do tych, jak i do tamtych Pan Bóg nas posyła, a dziś żyjemy w tak zmaterializowanym świecie, że ludziom coraz trudniej otwierać się na wartości duchowe i Pana Boga. Na takim polu będzie wiele trudności, aby wiarę budzić i pielęgnować ją w tych, którzy otworzyli się na Pana Boga.

Dziękuję za rozmowę.

ZAKONY I ZGROMADZENIA

STOWARZYSZENIE APOSTOLSTWA KATOLICKIEGO - PALLOTYNI

Tekst

ks. Stanisław Flis
pallotyln

Kiedy w 1980 roku od znajomego księdza proboszcza otrzymałem obrazek św. Wincentego Pallottiego ze słowami: „Pomódl się do Niego, to naprawdę wielki człowiek”, pomyślałem sobie: „O matko, co za brzydki święty”. Trzeba obiektywnie powiedzieć, że św. Wincenty do przystojnych nie należał. Ale kiedy bliżej poznałem Jego dzieło, wprost zakochałem się w idei i charyzmacie stowarzyszenia i nie było już dla mnie innej, lepszej drogi niż pallotylni. A z nimi wszystko zaczęło się bardzo zwyczajnie, w Rzymie, w 1835 roku, od zbiórki funduszy, aby misjonarzom wysłać modlitewniki. Do tej akcji włączyło się grono zapaleńców, którzy stali się zaczątkiem Pobożnego Stowarzyszenia Misyjnego, jak na początku nazywało się nasze zgromadzenie. Św. Wincenty wskazywał im, że każdy jest apostołem, każdy jest posłany „na cały świat by głosić Ewangelię” (a pragnę przypomnieć, że taka idea była w tym okresie, w okresie Wiosny Ludów, wręcz rewolucyjna). Za wzór życia dla swoich synów wskazał życie Jezusa, a stowarzyszenie oddał w opiekę Maryi Królowej Apostołów. Kanonizowany został w 1963 roku, u progu II Soboru Watykańskiego, a papież – św. Jan XXIII – postawił go ojcom soborowym za wzór apostołstwa. Siedziba

Zarządu Generalnego znajduje się w Rzymie, przy kościele w którym posługę duszpasterską pełnił św. Wincenty Pallotti. Obecnie przełożonym generalnym jest pochodzący z Indii ks. Jacob Nampudakam.

Pallotyni na ziemi polskie zostali sprowadzeni w 1907 r. Obecnie w Polsce są dwie prowincje pallotyńskie: Chrystusa Króla z siedzibą w Warszawie i Zwiastowania Pańskiego z siedzibą w Poznaniu. Nasi współpracownicy pracują na wszystkich kontynentach (z wyjątkiem Antarktydy), a w kraju zajmujemy się pracą parafialną, prowadzimy szkoły, pracę dydaktyczną na wyższych uczelniach, biura pielgrzymkowe oraz drukarnie. W każdym kościele w Polsce są nasze dzieła w postaci ksiąg liturgicznych, a każdy kapłan codziennie bierze do ręki liturgię godzin, czyli brewiarz, który wydrukowano w naszej drukarni Palotinum w Poznaniu, również Biblia Tysiąclecia drukowana jest w Poznaniu.

W Szczecinie posługujemy już od 1957 roku, prowadząc duszpasterstwo przy pięknie odnowionym kościele św. Jana Ewangelisty nad Odrą. Nasza praca nie ogranicza się tylko do parafii. Posługujemy w szpitalach przy ul. Arkońskiej oraz przy Unii Lubelskiej. Kolejnym pallotyńskim dziełem jest hospicjum przy ul. Pokoju. A w budynku klasztornym, w klubie Stella Maris, znajdują swoje miejsce marynarze przyplływający do naszego portu. Przy kościele skupione jest też Duszpasterstwo Ludzi Morza dla miasta Szczecina.

Formacja nasza trwa 7 lat; najpierw miesięczny postulat, w czasie którego poznajemy bliżej św. Wincentego i stowarzyszenie, rozeznając jednocześnie swoje powołanie. Następnie rok nowicjatu, potem sześć lat studiów filozoficznych i teologicznych w naszym Wyższym Seminarium Duchownym w Ołtarzewie pod Warszawą. W czasie formacji nowicjacko-seminaryjnej otrzymujemy strój stowarzyszenia i składamy najpierw czasową, a potem wieczystą profesję zakonną. Studia kończymy święczeniami kapłańskimi, natomiast bracia formację kończą wieczystą profesją.

Kościół pallotynów w Szczecinie. Fot. ks. Edmund Cybulski



Caritas Christi urget nos – Miłość Chrystusa przynagla nas – to hasło, które ciągle motywuje nas do służenia ludziom, a przykład Św. Wincentego pokazuje, że Bóg wybiera „to, co małe w oczach ludzi, by wielkich zawstydzić”.

NIESAMOWITE 151 KILOMETRÓW ULTRAMARATON ZE SZCZECINA DO KOŁOBRZEGU

Tekst

Paulina Bielecka

Kamil Tarnowski

Duszpasterstwo Akademickie „W Sercu” u chrystusowców

Kolejny piątek kolejnego miesiąca (a właściwie pierwszy piątek nowego miesiąca), godzina 17.30, Zamek Książąt Pomorskich. Prawie 200 biegaczy z osobami towarzyszącymi spokojnie czynią ostatnie przygotowania. Nie wyczuwa się stresu ani napięcia, widać wzajemną sympatią – uśmiechy, gratulacje, żarty... Niektórzy czekali na ten dzień, sumiennie trenując, ale byli pewnie i tacy, którzy zdecydowali się na to wyzwanie w ostatniej chwili, chcąc sprawdzić się w takim biegu... Ultra biegu.

Wybija 18.00 na zamkowym zegarze. START! Rusza trzecia edycja 147Ultra – biegu organizowanego przez Sanatorium San z Kołobrzegu. Tym samym rozpoczął się niewyobrażalny wysiłek każdego zawodnika. Niesamowite, ile potrafi znieść człowiek, który dąży do wyznaczonego sobie celu...

Słowem wstępu

Biegi takie jak ten to niesamowite wyzwanie dla ludzkiego organizmu, jeszcze większe dla ludzkiej psychiki. Jak mówią ultramaratończycy: „Wszystko rozgrywa się w głowach zawodników”. Oczywiście, przygotowanie fizyczne przed wyścigiem oraz właściwe nawadnianie i odżywianie już w trakcie są niezbędne, ale każdego i tak dopadnie ból, skurcze, znużenie, osłabienie i zmęczenie spowodowane wysiłkiem oraz tym, że biegnie się w nocy. Pojawiają się myśli: „To dopiero setny kilometr, a jeszcze 51, dużo trudniejszych kilometrów przede mną”, „Nie dam rady”, „Po co mi to?”. Głód, pragnienie, kontuzje. Kto więcej popracuje na treningach, ten ma większe szanse na to, że wszystkie nieprzyjemności dotkną go później, ale nikt nie ma takiej pewności.

Trasa

Trasa prowadziła między innymi przez: Szczecin Dąbie, Wielgowo, Sowno, Maszewo, Nowogard, Płoty, Brojce, Byszewo. W ostatnich sześciu wymienionych miejscowościach znajdowały się punkty kontrolne, w których

zawodnicy mogli się napić, zjeść, odpocząć, przebrać i skorzystać z rzeczy, które wcześniej sobie przygotowali, a które organizator przetransportował do wskazanych punktów. Nie był to rajd na orientację, więc trasa była bardzo dobrze oznaczona, a oprócz namalowanych strzałek, odblaskowych tabliczek, migających lampeczek na drzewach i wydrukowanych schematów trasy dla każdego uczestnika, na trasie stało również mnóstwo wolontariuszy, którzy wskazywali drogę, podawali napoje i jedzenie, a w razie potrzeby służyli pomocą tym, którzy nie byli już w stanie dalej biec. Trasa była bardzo urozmaicona pod względem trudności technicznej, prowadziła drogami asfaltowymi, leśnymi, polnymi, szutrowymi, brukowanymi i żwirowymi. Największą trudność stanowiły różnego rodzaju dziury i zagłębienia, zwłaszcza w lasach i na polach. W świetle latarki, podczas biegu nocą, przeszkody są prawie niezauważalne, do tego dochodzi zmęczenie po kilkudziesięciokilometrowym biegu, przez co, choćby małe, niepozorne zagłębienie może spowodować przewrócenie się i w konsekwencji odebranie chęci do dalszej walki.

Trochę liczb

W tym roku drobne zmiany trasy zaowocowały zwiększeniem dystansu do 151 km. Poprzednie dwie edycje odbywały się na trasie liczącej 147 km. Do biegu zgłosiło się 200 osób, co było podyktowane limitem ustanowionym przez organizatora, z czego na starcie stawilo się 175. W poprzedniej edycji startowało 56 uczestników. Tegoroczny bieg ukończyło 109 zawodników (ubiegłoroczny 33), w tym 11 kobiet. Z różnych przyczyn w trakcie biegu z dalszej walki zrezygnowało 66 osób (zmęczenie, kontuzje, wycieńczenie, brak chęci), ponadto 1 osoba została zdyskwalifikowana. Bieg obsługiwało 120 osób. Najlepszy zawodnik uzyskał czas 13 godzin 33 minuty (Jarosław Janicki), co daje średnią prędkość ok. 11,2 km/godz. Pociąg w najlepszych połączeniach jedzie około 2 godzin 15 minut, w najgorszych (nocnych) nawet 9 godzin 52 minuty. Najlepsza zawodniczka pokonała trasę w 18 godzin 37 minut (Marta Barcewicz). Najbardziej wytrzymały zawodnik spędził na trasie 47 godzin i 30 minut i dotarł do mety 30 minut przed limitem czasu wynoszącym 48 godzin. Pełne wyniki można znaleźć na stronie: www.147ultra.pl. Ilość spalonych kalorii zawodnika biegnącego 15 godzin to około 14 tysięcy. Zawodnik ważący na starcie 73 kg, wypijając w trakcie biegu 10 litrów napojów izotonicznych i zjadając 1 kg żywności, na mecie waży 67 kg (wiemy z doświadczenia Kamila). Koszt wystartowania: 0 zł. Wspomnienia: bezcenne.

Co jest w tym biegu najpiękniejszego?

Oczywiście każdy z zawodników, wolontariuszy, organizatorów i kibiców może znaleźć w nim coś innego. Na nas największe wrażenie robią ilość bezinteresownej pomocy i poświęcenia okazywane sobie nawzajem przez nieznanymi ludźmi oraz fantastyczna organizacja. Trzeba przyznać, że w 147Ultra organizacja zasługuje na uznanie i podziw. Obejmuje choćby:

uzyskanie wszelkich pozwoleń, zorganizowanie jedzenia i napojów dla 200 osób na każdym z 6 punktów kontrolnych, oznakowanie i zabezpieczenie trasy, zwerbowanie wolontariuszy, następnie przeprowadzenie wyścigu, posprzątanie po nim i cały arsenał spraw, o których nie mamy pojęcia. To robi wrażenie. Podziw wzbudzają też wolontariusze, których jest zadziwiająca ilość na trasie – to oni czekają w punktach kontrolnych na zawodników, towarzyszą im na rowerach, stoją na trasie w newralgicznych miejscach. Bieg tworzą też sami zawodnicy, którzy jednocześnie rywalizując, pomagają sobie nawzajem. Atmosfera wsparcia jest wyczuwalna, choćby poprzez proste pytanie: „Wszystko w porządku?”, podczas mijania ledwo biegnącego (albo już idącego) zawodnika...



Raz na wozie, raz pod wozem

Dystans 151 km wydaje się dla wielu niemożliwy do jednorazowego pokonania na własnych nogach i trudno uzyskać jedną, uniwersalną odpowiedź na pytanie: Dlaczego startujesz. Prawda jest taka, że do rywalizacji o wygraną startuje niewielu – większość nie chce wygrać całego wyścigu, tylko ten swój własny, prowadzony ze swoimi ograniczeniami i samym sobą. Wielu startujących ma świadomość, że mogą zostać zmuszeni do zejścia z trasy, bo zostaną pokonani przez ograniczenia własnego ciała.

W ubiegłorocznej edycji biegu współautor tego artykułu – Kamil – debiutował i triumfował. Odniósł niespodziewane (również dla siebie) zwycięstwo, wzbudzając podziw wielu zawodników. W tym roku oczywiście planował powtórzyć ubiegłoroczny sukces, zaznaczając przed startem, że do wygrania niezbędne jest ukończenie biegu, do wystartowania zaś pokora. Trzeba mieć świadomość nieprzewidywalności zdarzeń, które mogą mieć miejsce na trasie. Nikt nie zaczyna tego biegu jako wygrany lub przegrany, na 151 km może wydarzyć się wszystko, a ekstremalnie obciążony organizm może różnie reagować. Na tym chyba polega też piękno tego wyścigu.

I tak w zeszłym roku wielka wygrana, w tym... lekcja pokory. Problemy fizyczne oraz kontuzja, którą Kamil złapał podczas biegu, wyeliminowały go z dalszej rywalizacji, zmuszając do zejścia z trasy na 95 km. 95 km...tylko i aż. Inni kończyli na 30, jeszcze inni na 115. Za każdym razem było to tylko i aż. I za każdym razem było to wystarczająco, by wygrać. By wygrać z samym sobą.

TO PRAWDZIWE DZIECKO INTERNETU

Tekst
Maria Walas

Czy umiemy wyobrazić sobie współczesną rzeczywistość bez Internetu? Z pewnością nie. Obecnie stał się on częścią codzienności wielu z nas, do tego stopnia, że nie wyobrażamy sobie funkcjonowania mobilnych urządzeń bez stałego dostępu do niego. Początki Internetu sięgają lat 60. XX wieku, kiedy był wykorzystywany głównie do rozwoju naukowego. Nie upłynęło jednak wiele czasu nim sieć internetowa, za pośrednictwem komercyjnych dostawców, rozprzestrzeniła się na niemalże każdą sferę życia człowieka.

Z czasem nową formą aktywności w sieci stały się media społecznościowe, gdzie użytkownik to nie tylko odbiorca treści, lecz także jej kreator i uczestnik sieciowej rzeczywistości. Tym, co przede wszystkim odróżnia media społecznościowe od poprzedzających je technik komunikacji w Internecie, to właśnie ich dwukierunkowość, która zakłada, że internauta bierze czynny udział w tworzeniu oraz przekształcaniu informacji. Współcześnie sieć internetowa to nie tylko przestrzeń służąca do pozyskiwania informacji, rozrywki czy też komunikowania się z innymi użytkownikami. Coraz więcej usług oferowanych jest przez szereg firm, które różnymi sposobami starają się dotrzeć do odbiorców, a także pozyskać oraz utrzymać klientów. Internet stał się więc w dużej mierze miejscem kreowania i propagowania biznesu oraz poszukiwania inspiracji.

W tym właśnie środowisku narodził się crowdfunding, który określany bywa jako dziecko Internetu, gdyż jego ewolucja była możliwa dzięki istnieniu sieci internetowej oraz dzięki jej rozwojowi.

Czym jest crowdfunding? Tak naprawdę trudno podać jednoznaczną definicję tego pojęcia, ponieważ pojawiło się ona w społecznym dyskursie stosunkowo niedawno. Najprościej mówiąc, crowdfunding to finansowanie społecznościowe, co oznacza zbieranie za pośrednictwem Internetu środków finansowych od wielu osób na określony cel oraz oferowanie w zamian



Fot. Piotr Kołodziejcki

świadczeń zwrotnych wynikających z realizacji projektu. Oznacza to, że każdy, kto posiada talent, ma jakiś pomysł na rozwój własnego biznesu lub wydanie płyty, a niekoniecznie dysponuje środkami finansowymi na samodzielny start, może skorzystać z modelu finansowania społecznościowego.

Jak to zrobić? W praktyce to rozwiązanie jest dziecinnie proste. Wystarczy na specjalnie przeznaczony do tego platformie crowdfundingowej, takiej jak na przykład polakpotrafi.pl lub wspieramkulture.pl, zaprezentować to, na co chciałoby się zebrać środki finansowe, następnie przekonać innych użytkowników, że właśnie na nasz projekt warto dokonać wpłaty. Co ważne, crowdfunding zakłada pewnego rodzaju wymianę dóbr, oznacza to, że każdy z wpłacających otrzymuje od nas coś w zamian, pewną wartość materialną lub usługową, w postaci np. prywatnego koncertu, wspólnego obiadu lub publicznych podziękowań.

Czy warto? Oczywiście! Crowdfunding daje szansę nie tylko na realizację własnego projektu czy rozkręcenie biznesu, lecz także na zdobycie szerokiego grona odbiorców, zanim jeszcze uda nam się cokolwiek osiągnąć. Kontakt ten jest bardzo istotny, szczególnie teraz, kiedy to reklama staje się podstawowym sposobem pozyskiwania klientów. Co więcej, finansowanie społecznościowe wyklucza ryzyko inwestycyjne – odpowiedź zwrotną na temat tego, czy nasz projekt kogokolwiek zainteresował, otrzymujemy zanim jeszcze wydamy jakiegokolwiek pieniądze.

Warto więc o crowdfundingu mówić i wiedzieć więcej, szczególnie, że ten model finansowania ewoluuje w szybkim tempie i zdobywa coraz to nowe rzesze zwolenników, zwłaszcza poza granicami naszego kraju. Jednocześnie jest to szansa dla każdego, kto ma pomysł na własny rozwój, a działanie uniemożliwia mu biurokracja oraz konieczność inwestowania dużych pieniędzy bez pewności, co do przyszłego sukcesu.

NA WALIZCE, TABORECIE I KAJAKU

Tekst

Maciej Papke

parafia prawosławna

pw. św. Mikołaja w Szczecinie

Bracia i Siostry katolicy! W naszej gazecie ekumenicznej poruszane są różne tematy teologiczne, tłumaczone są zwyczaje i tradycje poszczególnych grup wyznaniowych. Z pewnym niepokojem obserwuję liczne odstępstwa od powagi mszy świętych, jakie zachodzą w Kościele rzymskokatolickim. Jako prawosławny mam poczucie, że KK przeżywa kryzys także w sprawowaniu liturgii. Część katolików podziela moje zdanie, zarówno świeccy, jak i duchowni. Część z nich, szukając powagi liturgicznej i szacunku do Eucharystii uczęszcza na msze trydenckie. Jak widać, jest swoiste zapotrzebowanie na tradycję.

Już Jan Paweł II w encyklice *Ecclesia de Eucharistia* wymienił nadużycia liturgiczne, do jakich doszło „od czasów posoborowej reformy liturgicznej”. Zdanie papieża na ten temat było bardzo stanowcze i nacechowane osobistym bólem. Jan Paweł II stwierdził, że nadużycia te pojawiły się na skutek źle pojmowanej kreatywności i przystosowania, stały się powodem cierpienia wielu ludzi, a wprowadzone innowacje były często nieuzasadnione i całkowicie nieodpowiednie.

Bylejałość to, moim prawosławnym zdaniem, wierzchołek góry lodowej. Osobnym tematem są msze udziwnione, nie do końca zgodne ze wskazówkami zawartymi w mszale. Często wręcz z dużym pogwałceniem *Novus Ordo Missae*. Wprowadzanie zwierząt, rowerów do kościoła. Celebransi w szatach, którym daleko do szat liturgicznych. Niestosowne ubrania i zachowania przed ołtarzem i wokół niego, instrumenty, które nie powinny grać podczas nabożeństwa, asysty świeckich, itd.

Moim zdaniem takie nowinkarstwo jest zgubne.

Kolejnym niepotrzebnym udziwnieniem są msze polowe, sądząc po zdjęciach w Internecie oraz z osobistych obserwacji, wysnuwam wnioski, że te msze sprawowane są dla „niesamowitości miejsca”, a nie dla Eucharystii samej w sobie. Odprawiane na przygodnych i niechlujnych ołtarzach polowych, często bez odpowiednich utensyliów. Msze kajakowe to już niemal tradycja, wręcz zakorzeniona i uświęcona w Piśmie Świętym.

Nie rozumiem tego. Nie rozumiem takiego podejścia do liturgii. Odbieram to jako brak szacunku do Pana Jezusa, do tradycji i spuścizny dwóch tysięcy lat Kościoła.

Na moje szczęście (i mej duszy) jestem tylko obserwatorem tych zdarzeń. Co niedzielę uczestniczę (najczęściej) w liturgii św. Jana Chryzostoma, moim zdaniem sprawowanej w sposób nieskalany.

Katolicy! Dbajcie i szanujcie własny ryt, własną tradycję.

MSZA JAK NA DŁONI

Tekst

Konrad Jaworecki CM

„Na statku, którym przewożono nas na północ, odprawiałem ją [mszę] w nocy i rozdawałem komunię więźniom, którzy byli wokół mnie. Czasami musiałem sprawować ją, gdy wszyscy szli po gimnastyce do łaźni. W obozie reedukacyjnym byliśmy podzieleni na pięćdziesięcioosobowe grupy. Spaliśmy na wspólnym łóżku; każdy miał do dyspozycji pięćdziesiąt centymetrów miejsca. Zorganizowaliśmy się w ten sposób, że obok mnie było pięciu katolików. O wpół do dziesiątej mieliśmy gasić światła i kłaść się spać. Wtedy odprawiałem na łóżku Mszę z pamięci i rozdawałem Komunię, wsuwając rękę pod moskitierę. Do przechowywania Najświętszego Sakramentu zrobiliśmy torebki z paczek po papierosach. Jezus eucharystyczny był zawsze ze mną w kieszeni koszuli.” (François-Xavier Nguyen Van Thuân, *Pięć chlebów i dwie ryby*, s. 40)

Zaczynam od świadectwa wietnamskiego kardynała François-Xavier Nguyen Van Thuâna, który 13 lat spędził w komunistycznych więzieniach, by poprzez te doświadczenia, ukazać, jak niezgłębiona jest tajemnica obecności Chrystusa w Eucharystii.

Zastanawiając się bowiem nad zagadnieniem sprawowania mszy świętej poza świątynią, miejscem poświęconym, dostosowanym do sprawowania świętych czynności, musimy uświadomić sobie, i mieć nieustannie w pamięci, czym jest Eucharystia.

Jako „źródło i szczyt życia chrześcijańskiego” jest prawdziwym i realnym spotkaniem z Bogiem. Jest obecnością Boga pośród nas. Z niej czerpiemy łaski i przyjmujemy ją jako najdoskonalszą modlitwę.

Klasyczny schemat uczestnictwa i przeżywania Eucharystii to udanie się do kościoła na odpowiednią godzinę, zajęcie „swojego” miejsca i aktywny udział poprzez włączanie się w dialog z przewodniczącym liturgii, a także z pozostałymi wiernymi. Moglibyśmy kolokwialnie powiedzieć, że każdy średnio zaangażowany katolik wie, jak „wygląda” msza święta. Kiedy w kościele zastaje go „klasyczny schemat”, czuje się bezpiecznie i potrafi z wielkim spokojem wejść w atmosferę modlitwy i skupienia. Inaczej dzieje się wtedy, gdy liturgia eucharystyczna zostaje wzbogacona o dodatkowe obrzędy czy niewielkie zmiany w klasycznym schemacie, na przykład zmianę formy aktu pokuty z „Spowiadam się Bogu...” na aspersję, pokropienie. Czy choćby najbanalniejsza zmiana – użycie I Modlitwy eucharystycznej zamiast II – najpopularniejszej – czy III. Te, wydawałoby się niewielkie różnice, wywołują niejednokrotnie konsternację i wybijają z rytmu bezpieczeństwa – ja to wszystko znam, wiem jak wygląda msza święta.

Kiedy zatem zastanawiamy się nad sprawowaniem mszy świętej poza kościołem, wydaje się, że to bezpieczeństwo jest pierwszym zagadnieniem, które należy zauważyć i omówić. Możliwość sprawowania mszy świętej poza świątynią jest oczywista. Mówi o tym, dość wyraźnie i prosto kanon 931 Kodeksu Prawa Kanonicznego: „Eucharystię można sprawować i jej dzielić w każdym dniu i o każdej godzinie, z wyjątkiem przypadków wykluczonych przepisami liturgicznymi.”

Pytaniem o wiele bardziej intrygującym, będzie pytanie o ten moment, kiedy wolno, czy też można, zabierać wiernym, a zapewne i przewodniczącemu liturgii, ów klasyczny schemat, w tym miejscu dotyczący samego miejsca sprawowania Eucharystii, by odebrać im bezpieczeństwo i pewność „swojego”. Wydaje się, że najbardziej popularna i prosta odpowiedź – jeśli prowadzą ku temu względy duszpasterskie – nie satysfakcjonuje. Jeśli pozostawimy rozpatrywanie względów duszpasterskich kapłanowi sprawującemu liturgię, nie doprowadzi nas to do pewności, że wierni – wszyscy – czują się dobrze podczas polowej liturgii. Jeśli decyzję pozostawiamy wiernym, pozostaje

Fot. Archiwum prywatne



pytanie, czy ksiądz może być zakładnikiem wspólnoty, która nawet z dobrymi intencjami wyznaczałaby miejsce czy też czas Eucharystii? Czy istnieje zatem jakiś szeroko pojęty złoty środek, kiedy cała wspólnota przyjmie to udziwienie Eucharystii za pomocne, a nie za fanaberie kogokolwiek?

Myszę, że istnieje i nie jest on trudny do odnalezienia. Zawsze odpowiedzią na pytanie, czy i gdzie sprawować Eucharystię, musi być odpowiedź o intencję. Dlaczego sprawujemy mszę świętą? Bo jest dla nas „źródłem i szczytem życia chrześcijańskiego”? Jeśli tak, kolejne pytanie, gdzie i kiedy muszą się w tym zawierać. Jeśli Eucharystia nie jest sprawowana po to, by być sakramentem obecności i komunii człowieka z Bogiem, to wszelkie „udziwienia” temu nie pomogą. Miejsce sprawowania (nad morzem, w górach, na kajaku, na ołtarzu polowym...) nie będzie wtedy „fajnym” miejscem, lecz miejscem, które dla danej wspólnoty staje się oczywiste i... bezpieczne.

Wracając do świadectwa kardynała, msza święta była dla niego najważniejsza, ponieważ dawała siłę, umacniała, była spotkaniem z Bogiem żywym. Sprawowana na dłoni nie traciła godności, ważności, była prawdziwym i realnym budowaniem relacji miłości kardynała z Bogiem i obecnymi współwierzniakami. Rozumiem, być może wzburzenie na myśl o tym, że sytuację dość skrajnego prześladowania porównuję z mszą świętą sprawowaną w miejscu nie poświęconym, lecz chodzi nie o prostą analogię, ale o sens, wartość i głębię przeżywania Eucharystii. Dodając tylko jedno – zdrowy rozsądek wspólnoty, na czele z przewodniczącym liturgii – będziemy mogli mówić o dobrze sprawowanej liturgii, z zachowaniem wszystkich zasad liturgicznych i duszpasterskich.

UŚMIECH SIĘ

Tekst

Ewa Smutek

Duszpasterstwo Akademickie „W Sercu” u chrystusowców

Trzeszczy mi łopatka. Dosłownie. Ponad rok temu fizjoterapeutka scharakteryzowała tę moją dolegliwość jako zespół trzaskającej łopatki. Podoba mi się nazwa, sama dolegliwość już nieco mniej. Właściwie wcale. Słabo znam się na anatomii, ale z tego, co wiem, to jakaś kość trze o kość, powodując ból i charakterystyczne trzeszczenie. Czasami boli naprawdę mocno i trudno z tym wytrzymać. Jednak mimo wszystko da się z tym żyć, a nawet – czasami także gdy boli najbardziej – zając się czymś innym tak bardzo, że zapomina się o bólu.

Przeskok z bólu fizycznego do bólu „metafizycznego”, tak zwanego bólu życia, to zabieg niezbyt kunsztowny i niespecjalnie oryginalny. Stare, sprawdzone metody bywają jednak najskuteczniejsze, a jeśli nawet nie – to przynajmniej sprawdzone. Mam w sobie wiele dolegliwości. Co rusz coś trze o coś innego, powodując dotkliwy ból. Całe szczęście, nawet wtedy gdy bardzo boli, w życiu trzeba po prostu żyć, zapominając czasami – choćby przez nieuwagę – że w ogóle coś nas bolało. Może dlatego lubię szybkie tempo życia – zanim się zorientujesz, że coś ci doskwiera, musisz iść dalej, robiąc po prostu swoje.

W dużym chaosie, niezorganizowaniu i właśnie szybkim tempie, wyruszam w weekendową podróż po pięciu miastach. To taki prezent dla samej siebie na urodziny. Wewnętrzne niepokładanie, brak pewności, czy znajomi, których po drodze odwiedzę, rzeczywiście mają chęć się ze mną spotkać, przykrywane są przez emocje towarzyszące niemal każdej podróży. Ewa, endorfiny i energia, to mój zestaw na tych kilka dni. Nie zdążyłam wcześniej kupić biletu, a pierwszy odcinek podróży przemierzam nieźle obciążona. Do Łodzi zawożę bratu kilka moich rzeczy, w tym wiolonczelę, więc lekko denerwuję się tym, że nie dam rady wpakować wszystkiego do pociągu. Nie wiem, skąd mam w sobie jednak jakiś rodzaj spokoju i radości, który pozwala mi uśmiechać się do pana sprzedającego bilety (mimo że taka długa dziś kolejka, wszyscy chcą szybciej, fukają i się denerwują). Uśmiech za uśmiech – pan spokojnie i z radością informuje mnie z jakiego peronu odjeżdżam, życzy miłego dnia i przekonuje, że na pewno zmieścimy się obie – i ja i wiolonczela. Tak niewiele, a jednak jakos nam milej i łatwiej.

Wiolonczela. Może to jej urok, może to... magia mojego nazwiska? Smutek – bądź co bądź zawsze wywołuje radość. I – mimo że mam już po dziurki w nosie żartów w stylu: „Pani Smutek? A nie wygląda pani!” (lub: „A pani taka radosna”) – po takim standardowym żarciku, zawsze jakos łatwiej i przyjemniej, bo wiem, że druga strona ma do mnie pozytywne nastawienie. Kiedy więc – ja i wiolonczela – wsiadamy do przedziału załadowanego w proporcjach 7:8 + mnóstwo bagaży, spodziewam się pomruków niezadowolenia, że przedział taki pełny, a my tu jeszcze obie. O dziwo – wszyscy się organizują, upychają, przesuwają, żeby tylko nas zmieścić. Jest mi niezmiernie miło. Na wiolonczeli mam przypiętą karteczkę z napisanym SMUTEK. Jeden z pasażerów zagaja, dlaczego smutek właściwie. Kiedy wyjaśniam, że to po prostu moje nazwisko, cały przedział wybucha radosnym, szczerym śmiechem. Do końca podróży jego ślady pozostają na twarzach moich pociągowych towarzyszy.

Rozpędzam się. Po pięciu miastach, w niewielkim odstępie czasowym, jadę w Bieszczady. Coś mi ciągle trzeszczy, momentami bardzo koncentruję się na tym bólu. Niepotrzebnie. W Bieszczadach jestem na zorganizowanym wypadzie, podczas którego poznaję mnóstwo ludzi. Opowiadają o swoich

podróżach, osiągnięciach, planach, marzeniach. Kasia przez rok mieszkała w Ugandzie, dzieli się z nami tym niezwykłym doświadczeniem. W Ugandzie ludzie cieszą się chwilą, nie rozpatrując tego, co było, na co już nie ma wpływu. Żyje się przecież dalej. Nie tak jak my – Europejczycy, analizujący dokładnie wydarzenia z przeszłości, rozpatrujący, co by było gdyby. Miło się słucha tych wspomnień z podróży, ale mimo wszystko, po powrocie nadal koncentruję się na tym, co mi w życiu trze, trzeszczy i co mnie boli. A przecież słyszę gdzieś z tyłu głowy: „Wystarczy ci mojej łaski. Moc przecież w słabości się doskonali”. Jak śpiewa szczeciński zespół Pogodno: „Uśmiech się, policz dobra czas”.

SYLWETKI PIĘKNYCH KOBIEC

BEZ PRZEBRANIA W POPKULTURZE

Tekst

Ewelina Dmitrowicz

Duszpasterstwo Akademickie „W Sercu” u chrystusowców

Oliwia ma z Jakubem taką umowę: średnio raz miesiącu ma prawo podeśłać mu jakiś „materiał ewangelizacyjny”. Dla niego to trochę ubaw, ale nie protestuje. Dla niej iskierka nadziei, że może kiedyś, coś na tyle go poruszy, że zatęskni za czymś więcej. Albo przynajmniej pozbędzie się kilku negatywnych stereotypów na temat Kościoła. Zaczęło się chyba od piosenki, która swego czasu chodziła jej nieustannie po głowie: „W obecności Twojej pragnę ukryć się, szukam twarzy Twojej, Ciebie tylko chcę...”. Kuba był cokolwiek zdziwiony: „O ludzie, wysyłasz mi piosenki o Jezusie?! Ja sobie tak to wyobrażam, że siedzi facet z dziewczyną na ławce, ona cała zaczerwieniona, bo słyszy „ciebie tylko chcę”, ale tam jest dalej „...drogi Jezu!”

Kilka miesięcy później Oliwia nie mogła się powstrzymać, żeby nie wysłać Jakubowi link z występu siostry Cristiny Scucci, która wygrała program „The Voice of Italy”, a na castingu zaśpiewała popularną piosenkę Alicii Keys. Być może tym razem już nie było dla niego wielkim zaskoczeniem, że można śpiewać do Kogoś innego, niż ziemskiej drugiej połowy w ten sposób:

Chcę cię mieć blisko
tam gdzie będziesz mógł zostać na zawsze (...)
Ludzie gadają, niech mówią co im się podoba
Ale ja wiem jedno - wszystko będzie dobrze (...)
Nikt, nikt nie może stanąć na przeszkodzie
temu, co czuję do ciebie...
(Alicia Keys, *No one*, tłum. autorskie)

Czy to nadinterpretacja? Do kogo mogła śpiewać szczypta, energiczna, młoda kobieta w czarnym habicie z krzyżem na szyi? Dla mnie to oczywiste. Dobrze, że pokazała się światu, choć w gruncie rzeczy jej strój ma wskazywać na to, że nie jest z tego świata. Prześledzenie jej drogi w telewizyjnym włoskim show to potwierdza.

Siostra Cristina skończy w tym roku 26 lat, urodziła się we Włoszech. Jak podaje „Tygodnik Powszechny”, nie wstąpiłaby do zakonu, gdyby nie casting do musicalu, ogłoszony przez siostry urszulanki z Palermo w 2008 roku. Początkowo sceptycznie nastawiona do występowania „u zakonnic” Cristina, dostała główną rolę – i jak mówi dzisiaj – to tam, w czasie prób, spotkała się z Panem Bogiem. W 2009 roku wstąpiła do postulatu, dwa lata spędziła na misji w Brazylii i w 2012 roku złożyła pierwsze śluby. Jej występ w popularnym programie wzbudził sensację w Internecie i w prasie – nie tylko włoskiej.

W Polsce między innymi na oficjalnej stronie czasopisma „Newsweek”, możemy przeczytać słowa siostry Cristiny, która twierdzi, że jej występ to odpowiedź na słowa papieża Franciszka, który chciałby, żeby katolicycy duchowni zbliżyli się do świeckich: „Papież mówi o Kościele jako matce. Chciałabym, aby ludzie myśleli, że Kościół jest wszędzie”. Trudno nie zgodzić się z siostrą Cristiną, która tłumaczy swoją popularność tym, że ludzie mają w sobie duże pragnienie radości i czystości. Trzeba przyznać, że dla mediów to zjawisko niecodzienne – młoda, ładna kobieta, zakonnica, wygrywa telewizyjny talent show, bo swoim śpiewem i osobowością wzbudza ogromny entuzjazm i sympatię mnóstwa widzów, a także swojego niezwiązanego z Kościołem trenera – jednego z jurorów, który sam siebie określa w porównaniu z siostrą mianem *diavolo*. Kto wie, być może przyjaźń z siostrą Cristiną było dla niego jedyną okazją do porozmawiania z osobą duchowną?

Przyjaciel Oliwii pierwszy raz zobaczył „fajowe” – jak je określił – siostry zakonne (zwrócił uwagę również na te, które kibicowały w studiu siostrze Cristinie). Czy to istotne? Nie wiem, ale ufam, że nic nie jest bez znaczenia. A już z pewnością nie bez znaczenia była wspólnie z publicznością odmówiona modlitwa „Ojciec nasz”, którą poprowadziła siostra Cristina, po tym, jak podziękowała Bogu za zwycięstwo w programie.



Proszę zeskanować kod QR

Weź udział w nowej zabawie audycji „Religia na Fali”. Zagłosuj w Chrześcijańskiej (pamiętajcie chrześcijańskiej, a więc nie tylko katolickiej) Liście Przebojów. Szczegóły na radioszczecin.pl/religia. Co 2 tygodnie losowanie nagród!

Zapraszam do słuchania audycji katolickiej „Religia na Fali” w Polskim Radiu Szczecin w każdą niedzielę o godzinie 6.00. Od stycznia 2013 roku audycja o godzinie 6 rano. (częstotliwość 92 MHz). W audycji m.in. o wydarzeniach z życia Kościoła, dialogu ekumenicznym w Szczecinie, młodzieżowych wspólnotach, a także rozmowy m.in. z duszpasterzami akademickimi (chrystusowcem ks. Zbigniewem Reguckim, jezuitą o. Grzegorzem Ginterem, dominikaninem o. Przemysławem Dymowskim), a także dominikaninem o. Maciejem Biskupem i ks. dr. Krzysztofem Łuszczkiem (Wydział Teologiczny Uniwersytetu Szczecińskiego). Szukaj nas na Facebooku: <http://www.facebook.com/religianafali> Piotr Kołodziejski, **Zapraszam!**



audycja
katolicka
zdjęcia
wideo

NIEDZIELA
informacje 6:00

RELIGIA
NA FALI

W SWOIM SERCU PONIESIESZ OGROMNY ŚWIAT

Tekst

Barbara Chojnacka

Duszpasterstwo Akademickie „W Sercu” u chrystusowców

„KIEDY WRESZCIE WYRUSZYSZ W DROGĘ KIEDY ZNOWU POCZUJESZ WIATR W SWOIM SERCU PONIESIESZ OGROMNY ŚWIAT”

Nieczęsto spotyka się takiego księdza, nieczęsto spotyka się takiego człowieka. O księdzu Zbyszku mogłabym pisać wiele i zawsze będą to słowa wdzięczności. Radość, otwartość na drugiego człowieka, ogromne poświęcenie, silna wiara, uśmiech, wrażliwość, praca i mądrość – to cały on. Każdy mógłby tu dopisać jeszcze inne określenia, które kojarzą mu się z naszym duszpasterzem. Tak wielu bowiem ludzi miało z nim kontakt przez te dziewięć lat posługi w Szczecinie – na życie wielu osób miał znaczący wpływ. Ksiądz Zbyszek całym sobą był i jest dla drugiego człowieka.

Współpraca i porozumienie, które narodziły się z biegiem czasu między nami, są wynikiem jednego spotkania. A autorem tego naszego spotkania był Pan Bóg – nie mam co do tego absolutnie żadnych wątpliwości. Pewnej środy (23 stycznia 2007) udałam się na mszę św. na godzinę 20.00 do Sanktuarium. Rano, jadąc na uczelnię, dowiedziałam się, że zmarł jeden z moich ulubionych pisarzy – Ryszard Kapuściński. Na tej mszy, na kazaniu, ks. Zbyszek mówił o tym pisarzu. To mnie zainteresowało i będąc potem w kawiarence na herbacie, nawiązałam z nim rozmowę. I tak to się zaczęło. Pierwsza nić porozumienia. Od tamtej pory, przez długi czas, ksiądz kojarzył mnie z Kapuścińskim – nawet w swoim telefonie tak mnie wpisał.

Przez te siedem lat Pan Bóg prowadził mnie różnymi ścieżkami. Przez doświadczenia trudne i zdawałoby się, sytuacje beznadziejne, uczył poprzez ukazanie nadziei, „temperował”, kształtował, pozwalał odkrywać samą siebie, odkrywać pasje i swoje powołanie, leczył rany, podnosił na duchu i pocieszał. Jego niesamowitym narzędziem w tym wszystkim był właśnie ks. Zbyszek – to niewiarygodne, jak ja wiele zawdzięczam temu świętemu kapłanowi. Pan Bóg postawił na mojej drodze kilku aniołów stróżów – i on jest jednym z nich. Myślę, że ta nasza znajomość – przyjaźń – to nie było tylko „pilnowanie”, żeby nic się nie stało, to było konkretne i wymagające wychowanie, kierowanie ku rozwojowi.

**„NIEBO KŁANIAĆ SIĘ BĘDZIE TOBIE
KWIATY ZACZNĄ SIĘ ZNOWU ŚMIAĆ
WSZYSTKIE KOLORY TĘCZY BĘDZIESZ MÓGŁ BRAĆ”**

Wsparcie duchowe to jedna rzecz, a kolejna to specyficzne zarażenie entuzjazmem i pasjami. Księdzu Zbyszkowi zawdzięczam góry – moje ich odkrywanie, wędrówki i zachwyty nad ich pięknem. Dziękuję i do końca życia będę dziękować, za odwagę, którą wlał w moje serce i wiarę w to, że mogę pokonywać trudności i zdobywać szczyty. Górska wędrówka jest niczym nasze życie – nieustannym zmaganiem się ze swoimi słabościami, radzeniem sobie ze strachem i przeszkodami na drodze i jednocześnie odkrywaniem siebie. Góry pokazują, że zawsze jest coś do zrobienia, ciągle trzeba nad sobą pracować i nie ustawać w tym. Mądrość ks. Zbyszka polega na tym, że potrafi to pokazać. Nasz duszpasterz zaraża nie tylko pasjami, lecz także działaniem. Niesamowicie motywuje do tego, by nie stać w miejscu, by iść do przodu, a zwłaszcza, by dzielić się sobą z innymi. Ksiądz Zbigniew to człowiek czynu, który nie potrafi stać z założonymi rękami i tego nas wszystkich przez te lata uczył. Pokazywał, jak zapominać o sobie i własnych potrzebach na rzecz innych i jak wiele można uczynić, gdy tylko się chce.

Osobiście jestem wdzięczna Panu Bogu za to, że postawił na mojej drodze takiego duszpasterza akademickiego, wspaniałego kapłana, wielkiego sercem człowieka i nieocenionego przyjaciela. I mimo że teraz opuszcza duszpasterstwo akademickie, opuszcza Szczecin, wszystko, co tutaj uczynił, pozostanie w nas, jako owoc jego pracy i modlitwy. Nie ma takich słów, którymi można podziękować ks. Zbyszkowi za jego świadectwo życia. Możemy jedynie obiecać, że się nie poddamy, że będziemy pielęgnować w sobie wszystko to, czego nas uczył, otwierając się na Boże łaski, bo chyba tego najbardziej ks. Zbyszek dla nas pragnie.

**„BO JESZCZE MOŻNA ŻYĆ
MOŻNA DOBREM WYPEŁNIĆ CZAS
ZECHCIEJ TYLKO IŚĆ
ZECHCIEJ PRZYJĄĆ CHOĆ JEDNĄ Z ŁASK”**



Dziękujemy!
Studentci ;-)

